

Włodzimierz Odojewski

Po powrocie do Kraju

Palestra 48/3-4(543-544), 18-25

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Niepublikowany dotychczas fragment przygotowywanej powieści
Włodzimierza Odojewskiego pt. „Milczący, niepokonani”,
której akcja toczy się pod koniec 1945 roku,
mającej stanowić kanwę filmu Andrzeja Wajdy o zbrodni katyńskiej*

Włodzimierz Odojewski

PO POWROCIE DO KRAJU

Siedział jak przykuty do krzesła, wprost bojąc się poruszyć, cała krew jak gdyby zeń nagle uszła. To było tych kilka zdań zaledwie, miały jednak wagę długiej opowieści, którą dopiero usłyszał później, i to z ust Anny. Prerażony patrzył na bratanicę. „Coś ty sobie wyobrażała tam się wyrывая? Tam, do tego Smoleńska, i dalej...” zapytał prawie szeptem, „Że go zobaczę” odparła Małgorzata. „Jak to?! Przecież wszystko o tych zamordowanych wiedziałaś. Gazety przecież wszystko...”, „Że go zobaczę..., stryju” przerwała mu szybko, niemalże ostro i już wiedział, że ponad te słowa nic z jej ust teraz nie wydobędzie, nawet nie chciał zapytać, co ona wtedy przez to „że go zobaczę” rozumiała, czy dosłownie, że zobaczy swego ojca zwłoki?

Siedziała po przeciwnej stronie stołu lekko ku niemu przechylona, jej twarz była nieruchoma, oczy z poszerzonymi źrenicami miały jakiś półprzytomny wyraz. Niedawno jeszcze we wspomnieniach nazywał ją zwykle „małą” albo Małgorzatką a teraz nawet w myśli nie potrafiłby, bo choć wciąż jeszcze było w niej sporo dziewczynki, to jednocześnie wiele dorosłej już kobiety; ta jakaś powaga, surowość w spojrzeniu i przedwczesna dojrzałość twarzy, co go wprost uderzyło już przedtem, w pierwszej chwili powitania. A teraz twarz miała kamienną. Zastygła. Ale powoli zaczynał rozumieć: bo ona była tam. I także: że może Anna celowo zostawiła go z córką samego. To było to, co może kryło się w Anny listach, a skreślone zostało przez niemiecką obozową cenzurę. Może chciała, ażeby usłyszał wszystko od kogoś, kogo łączą z Andrzejem węzły krwi. „Że go zobaczę... Że go zobaczę...” powtarzał w myślach słowa bratanicy w osłupieniu i zaraz w jakimś jednym jak gdyby błysku światła i on tamto na tej polanie znowu ujrzał, bo przecież widział kiedyś zdjęcia, wiele zdjęć, Niemcy je celowo wśród nich, jeńców w obozie, rozpowszechniali, próbując wciągnąć w swoje kłamstwa, ale teraz to było zupełnie coś innego, obraz przefiltrowany został przez świadomość bratanicy, stokroć więc był wyrazistszy, stokrotnie cięższy do zniesienia. „Że go zobaczę...” nieustannie powtarzał w myślach, patrząc na pochyloną w swoją stronę szczupłą niemal kruchą jej postać.

Anna poszła zaraz po kolacji do kuchni przygotować herbatę, słyszał jej krzątanie się, nastawianie na gaz czajnika i że miał wrócić do pokoju, składa naczynia do zlewu, a może nawet zabrała się do ich zmywania. Wcześniej powiedziała mu, że Niemcy jej, jako wdowy po zabitym w Katyniu, nie tykali, ale że teraz, po wojnie, to nie ma spokoju, choć nigdy się na temat zbrodni w żadnej niemieckiej gazecie nie wypowiadała i że nawet ostatnio myśli o wyniesieniu się z Krakowa (ma tego tak dosyć!), zresztą może by się już wyniosła, gdyby nie to, że nie chce przerywać nauki Małgorzaty. A przyczyną tego natrętnego zainteresowania jest nie tylko ona, jako żona zamordowanego, ale zwłaszcza jako matka córki, która jako trzynastoletnia uciekła z domu i tam powędrowała. Że boi się o Małgorzatę.

Powiedział do bratanicy siedzącej na przeciw „Ale dlaczego to ty tam pojechałaś? I czy musiałaś jechać?”, a Małgorzata odpowiedziała prędko, prawie zaczepnie: „Ktoś musiał. Musiałam zobaczyć jego grób, stryj nic nie rozumie...”, „Dlaczego właśnie ty?” powtórzył z naciskiem, ale odparła dopiero po zastanowieniu się, „Stryj znowu nie rozumie” i znowu po chwili namysłu: „Mama ma ciemne włosy, czarne oczy, panięskie nazwisko niemieckie, Pullach, mogła być przez Niemców wzięta za Żydówkę... Jedno podejrzenie, „raus” z wagonu na tor, kulka, bez chwili sprawdzania i z ich strony namysłu. Zwłaszcza na tamtych, wschodnich terenach”, „A ty?”, odpowiedziała: „Ja jestem po ojcu jasną blondynką mam niebieskie oczy”, i pierwszy raz od jego przyjazdu cień bladego uśmiechu przemknął przez jej twarz. Ale zaraz te obrazy stamtąd musiały w jej pamięci z siłą powrócić, skoro tego cienia uśmiechu już tam po kilku sekundach nie było nawet śladu, a raptem w jej wzroku zobaczył przerażenie i szaleństwo, zwłaszcza gdy zapytał: „I widziałaś te doły?”, i wtedy jej usta ściągnął grymas bólu, zaczęła płakać. Więc poderwał się z krzesła, obiegł stół i siadł obok niej, a ona, jakby na to właśnie czekała, zarzuciła mu ramię na szyję, przechyliła głowę na jego pierś i płakała w zupełnym milczeniu.

Przytulił jej głowę, głaskał po włosach i nie tylko nie zapytał o nic więcej, ale nawet nie pomyślał o tym, co tam pod Smoleńskiem przeżyła, co jej tam pokazano i co od niej chciano, ani nawet jak jej się tam udało dotrzeć, myślał – wciąż pieszczotliwie głaszcząc jej włosy – o zupełnie czymś innym, że ją widzi dopiero drugi raz w życiu, pierwszy raz wtedy w trzydziestym dziewiątym roku, kiedy pojechał na garnizonowe uroczystości i teraz dopiero po raz drugi, i że jest mu niezwykle droga, jakby nie bratanicą i córką chrzestną była, lecz jego córką rzeczywiście jednocześnie czując w niej wciąż żyjący, krwią pulsujący okrucieństwo swego brata, i wzbierała w nim i ogarniała go fala ogromnej czułości do córki Andrzeja, gdy wierzchem dłoni próbował zetrzeć z jej policzków łzy. Myślał: „Zaledwie kilka lat minęło, a przewaliła się cała epoka”. Że on w obozie znajdował się jak gdyby w jednym miejscu unieruchomiony, jak niemal pod kloszem, że jego czas prawie się zatrzymał, wszystko co kiedyś rozumiał oddaliło się już tak bardzo, że ledwo rozpoznawał. Bo ludzie już myśleli inaczej niż on myśli, między ich a jego doświadczeniem leżały lata jego obozu, i jeszcze z lękiem myślał, że nie wie, czy zdoła innych dogonić. Aż od drzwi usłyszał kroki, to Anna wniosła na tacy herbatę, rozstawiała na stole filiżanki, i rozstawiwszy

je, powiedziała cicho: „Małgorzata wtedy uważała, że ja jestem kochanką swego współnika od tej kawiarni, co ją prowadzimy tam wspólnie na dole. Że dlatego nie chcę jechać na wschód”, a na to Małgorzata porywczco urwane: „Mamo...!” wykrzyknęła i poderwawszy się z krzesła szybko wybiegła z pokoju.

Siedzieli potem z Anną przy herbacie już długą chwilę, zanim się odezwał: „Przecież słyszałaś chyba z kuchni, co Małgorzata powiedziała...”, „Słyszałam. Ona tak mówi zawsze. A ja wiem swoje” i choć o nic wyjaśniającego nie zapytał, zresztą nie śmiałby, znowu po chwili milczenia Anna powiedziała: „Nie odpowiem ani tak, ani nie. Zarówno gdyby było „tak”, jak gdyby było „nie” – to by tylko moja osobista była sprawa. Z której nikomu nie jestem winna zwierzeń. Ale ona przyjęła właśnie, że „tak” i ten wyjazd odbyła za mnie. A to, co tam przeżyła, to nie było na jej oczy. Zresztą nie wiem na czyje oczy. Na jej jednak na pewno nie. Za ten widok będzie płacić do końca życia, i za te od ciebie dwie srebrne spinki z wrytą literą „A”. Które jej w kopercie wydali. Ażeby obłaskawić”. A on powiedział: „Jak rozumiem po to, żeby powtarzała, gdzie jej każą, ich wersję zbrodni?”, „No tak, oczywiście” Anna na to, a on: „A ona co? Tę przysługę im zrobiła?”, a Anna popatrzyła na niego długim, uważnym spojrzeniem i: „Ona milczała” powiedziała, wtedy głęboko odetchnął. Chwilę słuchał szmerów z głębi mieszkania, ale Małgorzata nie wróciła; wróciła doń później, w majaczeniach półsennych. Już w innej postaci, młodsza.

Teraz patrzył na Annę i choć nie pytał o nic, Anna zaczęła sama tę opowieść. Zanim ją jednak zaczęła, powiedziała: „Minęło już dwa lata, a wciąż nie mogę się z tego otrząsnąć. Bo pewnego ranka..., w połowie kwietnia..., w mieszkaniu jej nie było. Chodziła do zawodówki, ale i na komplety gimnazjalne. Myślałam, że coś się stało, nie odrobiła lekcji, poszła wcześniej do koleżanki, razem często odrabiała. Aż na stoliku w przedpokoju zobaczyłam list. Ona po prostu napisała, że wszystko od a do zet przemyślała, i że ona tam jechać musi. Zabrała swoje oszczędności. Chyba rozumiesz, myślałam, że oszaleję. Chciałam jechać za nią, lecz na to przecież trzeba było specjalnej przepustki. Pobiegłam zaraz do urzędu, ażeby się starać, myślałam, że oszaleję. Ale zanim jeszcze udało mi się coś przedsięwziąć, już dostałam pierwszą wiadomość z policji. Przyszedł tu taki jeden i powiedział, że córka jest pod dobrą opieką. Że dojechała na miejsce i że niebawem wróci do domu. Myślałam, że oszaleję”.

I potem mówiła głosem przyciszonym, jakby hamowanym, przytrzymywanym siłą na wodzy, ale wyrrywającym się do przodu i jej dłonie splecione na łonie poruszały się, tej opowieści zdanie po zdaniu towarzysząc.

Wpierw, czego się dowiedziała w komisariacie policji. A później, że ją wezwali nazajutrz także na policję niemiecką może to zresztą była jakaś komórka specjalna, ona do dzisiaj nie wie. Dziwili się, że nie pojechała razem z córką. Bo przecież nie ma przeszkód, i mówili, że Małgorzatę zatrzymali już po drodze w jakiejś mieścinie. Że wysadzili z pociągu, że przesłuchali, że dowiedzieli się wszystkiego, że nie mieli nic przeciwko temu. I znowu, że nie mieli także nic przeciwko temu, żeby ktokol-

wiek więcej z rodziny tam pojechał, i że się zaopiekowali, że dali jeść, że przenocowali, że dnia następnego wsadzili do odpowiedniego innego pociągu, że powierzyli dobrej opiece, że spełnili wszystkie życzenia, że zrobili co mogli, co można było, żeby jej pomóc, żeby pokonała ten ból. Bo strata ojca, to jest największa strata, jaka może się człowiekowi przydarzyć. Tak mówili. Że zwłaszcza w jej wieku. Tak mówili, tak mówiła Anna.

A jej piękne i rasowe dłonie spięte razem, splecione na łonie, były w ciągłym ruchu, raz zaciśnięte, raz się rozluźniające, jakby tę opowieść popychały zdanie po zdaniu do przodu, jakby samemu jej głosowi mogło na to zabraknąć sił. Że trudno mu było na to patrzeć. Aż był koniec. Aż umilkła, wyschnięte, zbielejące wargi zwilżyła koniuszkiem języka i tylko oddychała szybko jak przedtem, ale jej dłonie znieruchomiały wreszcie. Więc powiedział: „Dobrze, już wiem wszystko. Zresztą jeszcze będziemy mieli wiele czasu, żeby sobie wiele powiedzieć. Nie trzeba tego tak od razu rozdrapywać. Nie trzeba, ażeby on....” i urwał przekonany, że cokolwiek powie, to nie będzie to odpowiednie po tym, co usłyszał, i potem zaraz powiedział, że nazajutrz jedzie do Warszawy.

Anna wtedy zdziwiła się, bo była przekonana, że po obozie zechce odpocząć, rozejrzeć się, rozważyć te czy inne możliwości, może potem nawet starać się o tę swoją przedwojenną pracę, może by mu ją przywrócili... Powiedział jej na to, jaką to już w obozie w Murnau pracę mu zaproponowano, że przyjechali oficerowie z Polski, że to oni i że ma do spełnienia ważne zadanie, misję, misją tę swoją przyszłą pracę nazwał, będzie tropił morderców z katyńskiego lasu, w każdym razie w tym tropieniu ich dopomoże, żeby postawić przed sądem, „Będzie proces”, że już tam w Murnau tego zadania się podjął powiedział, a ona: „Proces? W Polsce proces? Przeciwno komu proces?”, a on: „Przeciwko mordercom. Coś w rodzaju przygotowywanego przez aliantów. Słyszałaś pewnie. W Norymberdze”, a ona: „To już ich mają?”, a on: „Nie wiem, czy już ich mają... Ale myślę, że się ich znajdzie”, a ona patrzyła nań chwilę w milczeniu, potem: „Jesteś tego pewny?” zapytała, a on: „Taka zbrodnia nie mogła nie zostawić śladów prowadzących do sprawcy”, a ona znowu: „Jesteś tego pewny?”, a on, jakby nim ktoś potrząsnął (to był teraz jej głos pełen zastanowienia, pozbawiony nagle tamtych emocji, zupełnie zimny), zapytał: „Czyżbyś innego była zdania?”, a ona powiedziała z ociąganiem: „Można rozminąć się z prawdą choć ona leży tuż, tuż...”, a on: „Nie rozumiem”, a ona: „Czasem nawet z nią rozmijać się trzeba” i nagle krótko: „Więc wyjeżdżasz?”, a on: „Tak, jutro. Bo mam skierowanie do ministerstwa” wyjaśnił, ale że zanim przystąpi do jakiegokolwiek pracy, pojawi się przecież znowu w Krakowie, a ona: „Pościeliłam ci w pokoju Małgorzaty. Ona śpi dzisiaj u mnie” i uniosła się z krzesła i poszła, nie pytając o kogoś on jedzie, mówiąc mu tylko: „Dobranoc”.

Później nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy odpowiedział. Dopiero teraz sięgnął po filiżankę z przyniesioną przez Annę herbatą i, nie słodząc, zaczął pić wystygłą. Wstrząsnął nim dreszcz. Była w nim świadomość niemożności dołączenia do ich tutaj trosk i spraw. Świadomość nieumiejętności. Kilka lat nie miał w ustach

alkoholu, przedtem, przed wojną właściwie także nie, czasem od święta, a teraz – pijąc herbatę – poczuł gwałtowne, trudne do opanowania pragnienie napicia się wódki, jakby był nałogowcem. Opowieść Anny wracała jak na kołowrocie, z powrotem, wiedział, że nie prędko zaśnie, zwłaszcza że przespał przecież prawie cały dzień od granicy do Krakowa w pociągu, ale chciał spać, chciał oddalić się od tego wszystkiego, co usłyszał, chciał spać.

Po jakimś czasie, kiedy ani Anna, ani Małgorzata nie zjrzały już do jadalni i kiedy w głębi mieszkania ustały wszelkie kroki i głosy, poszedł do łazienki; woda była lodowata, otrzeźwiła go jeszcze bardziej, ale gdy się położył i zgasił lampkę przy łóżku ta ostra trzeźwość okazała się złudna, bo od razu zaczął zapadać się jak gdyby pod ziemię, zlatywał coraz szybciej i głębiej, potem nagle zatrzymywał się gwałtownie, jakby zawisł w powietrzu, serce doskakiwało do gardła i unosił się z powrotem do poprzedniego poziomu, uświadamiając sobie wtedy, że przecież w rzeczywistości leży na wznak w łóżku (to była znów poprzednia trzeźwość, może już mniej ostra niż ta wcześniej), i jeszcze, że gazowa latarnia na ulicy pyka przerywanym światłem, że musi być uszkodzona, i jego oczy, które dawno już przyzwyczyły się do mroku, rytmicznie tylko rozjaśnianego nieco tym światłem latarni z dołu, może nawet po przeciwnej stronie ulicy stojącej, błędziły po ubiegłowiecznych portretach rozwieszonych ciasno na ścianach (był przekonany, że znał je z Przemysła, że wisiały w domu rodzinnym Anny), i zaraz mieszały mu się wnętrza różnych mieszkań, tego przemyskiego, gdzie mieszkał z bratem, tego, gdzie mieszkała niegdyś u rodziców Anna, gdy była jego dziewczyną dokąd przychodził często na wspólne odrabianie lekcji, i tego, gdzie zamieszkała później z Andrzejem jako mężatka, a również swojego pierwszego, studenckiego i następnego w Krakowie, nawet tego teraz, w którym on, zawieszony w powietrzu jak pajak na nitce pajęczyny zaczynał zapadać się gdzieś pod ziemię, coraz szybciej i głębiej do nowego raptownego zatrzymania się, z sercem wpychającym się gwałtem do gardła i przed kolejną żmudną wędrówką na powrót w górę, ze świadomością że zaraz będą te z mroku wyłaniające się, ciasno rozwieszzone na ścianach rodzinne portrety Pullachów i po chwili znowu rozpocznie się ten sam ruch: w górę i w dół, w dół i w górę, i nigdy nie zaśnie naprawdę.

Ale podczas jednego z tych powtarzających się tak natrętnie powrotów z dołu w górę, wydało mu się, że nie jest sam. Że w mroku pokoju, w pykających refleksach mglistego z ulicy wdzierającego się światła, widzi znowu Annę, zanim jeszcze usłyszeć zaczął jej oddech. Stała, a może siedziała w jakiejś bez początku i bez końca rozległej pustce. W pustce, w którą gdyby wszedł, rozplątałby się w niej, przestałby w ogóle być może istnieć; być może należała do zupełnie innego czasu, a może nawet zupełnie innego miejsca. Bo te znane mu portrety rodziny Pullachów, które Annie udało się uratować z ich mieszkania przemyskiego, mimo że zostało w trzydziestym dziewiątym po wschodniej stronie Sanu, to ze ścian teraz przepadły (nie, nie byli Żydami, któż mógłby coś takiego gdzieś twierdzić, zamęczono ich, bo nie

chcieli podpisać Volkslisty), i wtedy w swych szalonych wędrówkach w dół i w górę, i znowu, znowu, zatrzymał się w miejscu ostatecznie, trwale, wyczerpany do ostateczności, niemal bez tchu.

Jego spocone ciało leżało w rozgrzanej pościeli zupełnie nieruchomo, a znajdująca się gdzieś w pobliżu Anna mówiła doń z tej pustki głosem jak przedtem hamowanym, przyciszonym, wyrwijącym się jednak całą siłą do przodu, że mówiła jej Małgorzata, że ta podróż trwała wiele godzin, może nawet dzień albo dwa, albo trzy, i że po raz drugi to wysadzili ją z pociągu już w Smoleńsku, tam dołączyli do jakiejś grupy ludzi przybyłych ze Śląska, choć jednak przedtem w tamtejszej siedzibie gestapo pytali ją znowu, czy jej zamiarem jest rzeczywiście zobaczenie miejsca, gdzie Sowietci pomordowali tylu polskich oficerów, a Małgorzata potwierdziła, że tak, że to właśnie jest jej zamiarem, zobaczyć to miejsce, bo oni usłyszeć by chcieli, co ona o tym myśli, mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, że tak jej mówili ci na Gestapo, i że już nazajutrz to zawieźli ją autobusem w jakąś leśną okolicę, gdzie szosa z miasta krzyżowała się nieopodal kolejowej stacyjki z wąską drogą prowadzącą w głąb tegoż lasu i na jej końcu kazali wszystkim wysiąść, tam w pobliżu był barak, do którego ją zaprowadzili dopiero później, wtedy jeszcze nie, ale z tymi ludźmi ze Śląska (kilkanaście kobiet, trzech, może czterech starszych mężczyzn), od tego baraku świeżo przyciętą w młodniaku drogą poprowadził ich taki jeden wygadany, w białym czystym kitlu całą gromadą (może Polak, może Niemiec władający polskim; i to on ją zapytał, tak jak tamci z gestapo, czy rzeczywiście chce tam iść, przytaknęła, że tak) i zaprowadził w głąb lasu otwierającego się, po trzystu albo czterystu metrach, polaną w białych brzozech na skrajach i dalej w świerkach, rozrytą po środku dołami i usypiskami z wilgotnej ziemi mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, a już od pierwszej chwili otoczyła ich, jak gęsta chmura, jak coś twardego, lepkiego, zarazem nieuchwytnego i niewidzialnego odrażająca woń zepsutego mięsa, że zemdleć było można, mówiła Małgorzata, ale ona nie zemdleła, mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, i że dopiero później, gdy zbliżyli się do jednego z tych dołów, kiedy uprzytomniła sobie, że już jest na miejscu i zobaczyła, jak z głębi na drewnianych narach mężczyźni w łachmanach wynoszą coś, co dawało się rozpoznać tylko po zmieszanych z ziemią i jakimś szlamem resztkach munduru, co było bez głowy, nawet bez rąk (może miało je skrępowane na plecach), choć miało nogi i to w butach z cholewami, a te buty były najlepiej jeszcze zachowane, to wtedy zakreśliło jej się w głowie i wszystko inne też kręciło się wokół niej, napierało na nią zewsząd i myślała, że zemdleje, upadnie, podtrzymała ją jednak jedna z kobiet, co już przedtem mówiła, „Mała, to nie dla ciebie widok” i miała na nią od samego początku baczenie mówiła Anna, że Małgorzata jej mówiła, jak ją tamta wzięła czule pod ramię i już do końca nie puściła, i może chciała jej tego widoku zaoszczędzić, od tego otwartego dołu odciągając ją szybko na bok, a na stronie już znowu czekał ten w białym kitlu i wywołał kilka nazwisk mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, jej nazwisko też, to znaczy jej ojca, i powiedział pod jakim jej ojca zareje-

strowano numerem i że został już przed kilkoma dniami pochowany, wskazał ręką w górę polany, ten ruch był taki jakiś zagarniający, zarówno te doły otwarte, i te wcześniejsze, już zasypane, i resztę polany, i las białych brzoź po obu stronach, i następnie świerki i jodły, a wszystko to było przeraźliwie obce i on, jej ojciec gdzieś tam w tej obcości leżał, bo to powiedział ten w białym kitlu, więc w głąb polany wkrótce poszli, mówiła Anna, że przypominała sobie potem Małgorzata, krok po kroku, gdzie szła, co robiła, na co patrzyła i że tam było więcej ludzi i zdaje się uczestniczyła w jakimś kolejnym pogrzebie, i widziała, jak ci w zdartych łańkach, może więźniowie, może rosyjscy jeńcy znosili na tych narach poskładane już i ułożone prosto zwłoki, czaszka nieraz okryta strzępami płaszczka, nieraz nie, z przeciwnej strony wystające spod tych strzępów buty, świeżo rozcięte, przeszukane, po bokach coś, co mogło być resztkami dłoni, i te zwłoki zsuwali jeden po drugim w rozkopane nowe doły, koszmarny szmer zsuwanych po deskach zwłok, kłapnięcie, znowu ten szmer, znowu kłapnięcie, ksiądz zaś jakiś błogosławił i odprawiał ostatnie egzekwie mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, wszystko widząc jakby niebawale rozciągnięte w czasie, jakby poszczególne obrazy nie należały wcale do jednego dnia, lecz rozpadły się na wiele dni, choć ta ani stara, ani młoda kobieta, co już na początku się nią zajęła, wciąż przy niej była, prowadziła za ramię, i wciąż także jednostajny, ani cichy, ani głośny, ale przeciągły, nieustający szum lasu przy niej był, towarzyszył zmieszany z szeptami modlitw, niekiedy zrywającym się nagle gdzieś i zaraz przepadającym szlochem, jękiem, krzykiem niekiedy, wyrażającym rozpacz, zawód albo groźbę, wołającym o pomstę, też przepadającym tak samo szybko, bo ten szum lasu pokonywał, zmiatał z ziemi wszystkie inne głosy, tak że zapamiętała go najtrwalej i jeszcze, że odór spustoszenia, rozpadu i rozkładu, zgnilizny, zepsutego mięsa wciąż napierał, nieludzki, niewyobrażalny nigdy przedtem, odrażający, wciskał oddech w gardło z powrotem i nie dał o sobie zapomnieć ani na chwilę, nawet potem, kiedy znalazła się w baraku, po przeciwnej stronie rozkopowiska, co już widziała go z początku, kiedy ich tylko z autobusu wysadzili, i takich w białych kitlach było tam kilku, a jeszcze kilku innych po cywilnemu i w różnych mundurach, z aparatami fotograficznymi, co pstrykali natrętnie również wielu, ci zaś w kitlach to coś mówili, do czegoś przekonywali, coś oświadczali, do czegoś zachęcali, coś pokazywali, najczęściej były to listy albo zdjęcia, jakieś drobne przedmioty też, mówiła Anna, że mówiła jej Małgorzata, że później nie pamiętała, co od niej chcieli, czy w ogóle cokolwiek czy nic, ale dali jej kopertę, a ta kobieta, co nie puszczała jej ramienia, kazała jej tę kopertę wziąć i zachować, bo to po swoim ojcu, tak powiedziała Małgorzacie, co ta powiedziała Annie, a Anna jemu, że to były spinki od mankietów koszuli z wyrytą na każdej literą „A”, które on ofiarował bratu na garnizonowym balu w Przemyślu tuż przed samą wojną. A jej droga stamtąd z powrotem trwała wiele dni, mówiła Anna.

Ale w pokoju pojaśniało. To były już nie tylko refleksy jakiejś pobliskiej latarni ulicznej, to było już światło zaczynającego się dnia, i wydało mu się, że całą noc nie

spał. Spojrzawszy na zegarek zerwał się z łóżka, i jak najciszej poszedł do łazienki. Przy goleniu kilka razy się zaciął, zabrudził krwią ręcznik. W kuchni znalazł obok przygotowanego dla siebie na stole przez Annę śniadania także kartkę z kilkoma zdaniami napisanymi ołówkiem. Na której Anna przeproszała go, że nie będzie mu w śniadaniu towarzyszyć, ale dzisiaj u nich tam na dole w „Mewie” jest otwarte, musi z piekarni odebrać świeże pieczywo. Jeżeli on jednak do Warszawy nie pojedzie pociągiem najwcześniejszym, to ma tam do „Mewy” do niej na dodatkową kawę zajrzeć.

Nota o Autorze

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI, urodzony w 1930 roku. socjolog, prozaik, dramaturg, publicysta, autor między innymi powieści „Wyspa ocalenia”, „Miejsca nawiedzone”, „Zasypie wszystko, zawieje”, „Oksana”, tomów opowiadań „Zmierzch świata”, „Kwarantanna”, „Jedźmy, wracajmy”. Ostatnie jego publikacje książkowe, to powieść „Czas odwrócony” i tom opowiadań „Bez tchu”. W numerze 12/1999–1/2000 „Palestry”, w ramach wypowiedzi „Na progu trzeciego tysiąclecia” opublikował esej pt. „Czy znów będziemy przerabiać tę lekcję?”